



PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE
WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie:
rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35,
miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca HIPOLIT ORGELBRAND.

Expedita główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego
kwartal: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 77.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie:
flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskim: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22¹/₂,
na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 71¹/₂.

ALEKSANDER PRZEZDZIECKI.

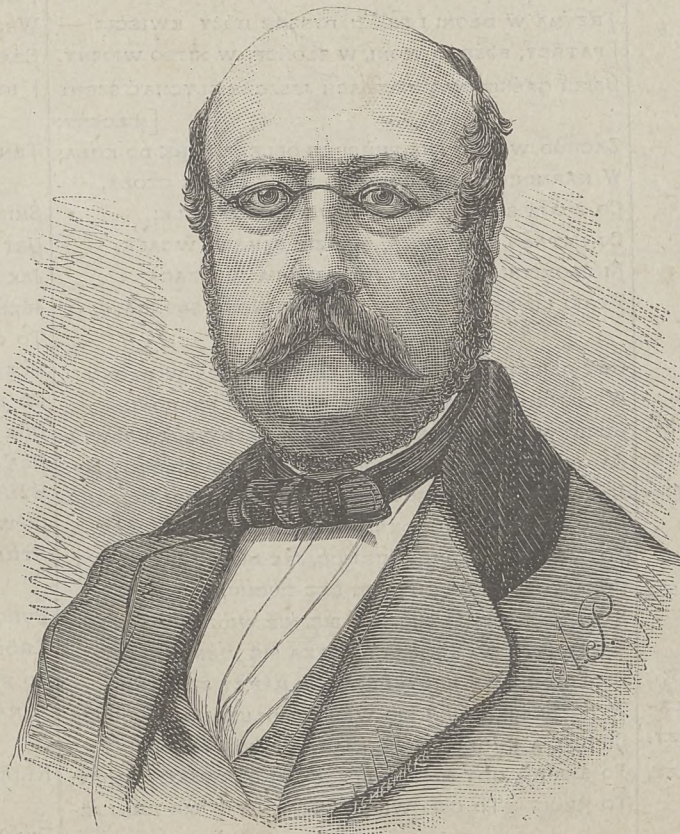


Wielkość prawdy dziejowej bolesną temi dniami otrzymali nowinę z Krakowa: z niwy historycznej polskiej zeszedł pracownik, którego inny podobny może nierychło zastąpi. W badaniach historycznych, podobnie jak we wszystkich dziełach umysłu, pracownicy trzymają się zwykle dwóch wręcz przeciwnych systematów. Jedni z elementarnych wiadomości nabytych w szkole tworzą całkowity zarys gmachu przeszłości, i wszelkie późniejsze postrzeżenia tak ociosują i barwią, ażeby przypadły do planu powziętego z góry. Drudzy nie przesadzając kształtów budowli zagrzebaną pod popiołami i lawą pompejańską, pracują we dnie i w nocy nad odgrzebaniem kamyka po kamyku i sprzętu po sprzęcie, aż całość stanie odsłonią przed oczyma. Oczywiście, jeżeli przeszłość ma być mistrzynią przyszłości, pierwsi niewiele nas mogą nauczyć, zaznajamiając nie z przeszłością rzeczywistą, ale jedynie z własnymi o niej wyobrażeniami; nauczają tylko drudzy o tyle, o ile prawdę dziejową bez uprzedzeń szczegółów po szczególe stawiają w świetle właściwym przed spragnionymi żywej wody nauki. U nas jak we wszystkich odnogach wiedzy, tak i w dociekaniach historycznych, pierwszy kierunek przeważa; Przeddziecki trzymał się drugiego, i to nad stratą jego tém żywiej ubolewać zniewala.

Urodzony w r. 1814 na Podolu, wychowywany po pańsku, czyli co prawie jedno powierzchownie i po francuzku, jakkolwiek to wychowanie uzupełnił następnie poważnymi nabytkami wiadomości w słynnym liceum krzemienieckim i w uniwersytecie berlińskim, nie mógł się z razu pozbyć Przeddziecki skłonności zaszczerpionych w latach młodzieńczych. Pisywał tedy po francuzku i po polsku komedye i dramata, tłómaczył z języka polskiego na francuzki i z francuzkiego

jednak popęd do badań historycznych nie tylko zapanował nad owemi sztucznymi skłonnościami, lecz stał się zadaniem żywota, pochłaniającem całą działalność niestrudzonego umysłu przez lat przeszło trzydzieści i nie opuszczającem go nawet na łożu śmierci.

Niepodobna nam w obecnej pobieżnej wzmiance zapuszczać się w wyliczanie arcy długiego szeregu prac ściśle historycznych Przeddzieckiego, bądź drukowanych w osobnych książkach, bądź rozrzuconych po czasopismach. Od pierwszej z nich wydanej w r. 1841 p. t. *Podole, Wołyn i Ukraina*, aż do ostatniej p. t. *Jagiellonki*, nad którą uzupełnieniem śmierć zaskoczyła autora, każda z tych prac przynosi do skarbnicy dziejowej nowe szczegóły, otwiera dla myślicieli nowe widoki, prostuje zastarzałe błędy, toruje drogi dla błąkających się po manowcach. Nie ma ani jednej chociażby najmniejszej rozprawy Przeddzieckiego, w którejby się nie znalazło nowych a wielce szacownych dokumentów, do owęj pory niedostępnych lub całkiem nieznanym badaczom. Uganiał się za nimi po wszystkich wielkich i małych archiwach krajowych, po bibliotekach i zbiorach zagranicznych, od Sztokholmu do Neapolu i od Moskwy do Paryża. Tak kamyk po kamyku znosił i składał na wzorzystą mozaikę owdzie przeslicznych zabytków sztuki średniowiecznej polskiej, owdzie żelaznych postaci Żółkiewskiego lub Achacego Kmity, owdzie znowu cichego życia domowego Jadwigi lub burzliwego Katarzyny Jagiellonki...



Aleksander Przeddziecki.

na polski rzeczy przemijającej wartości, które ani nadać mu rozgłosu, ani postawić w rzędzie ludzi zasłużonych krajowi nie mogły. Wrychle

w ścisłym znaczeniu, do szukania rzeczywistości dziejowej po za kresem historii pisaną. Bogaty jego zbiór archeologiczny, mniej znany,

niżeli pisma drukowane, stanie się zapewne z czasem podstawą wywodów rozumowych, gdy czas na takie wywody nastąpi, to jest, gdy zasób danych okaże się nareszcie dostatecznym. Dotychczasowe dane są nader szczupłe, archeologia porównawcza zaledwo pierwsze kroki stawiać poczyną; snucie tedy już teraz wywodów ogólnych jest albo na nie nieprzydatne, albo nawet szkodliwe, bo obalamucające umysły. Najlepszy tego dowód mamy w wywodach antropologicznych na zasadzie kilkudziesięciu odkrytych czaszek i kilku rysów przygodnie znalezionych na skamieniałościach kości. Jeżeli zatem Przeddziecki poprzestawał na opisanie faktu odkrycia, jeżeli się powściągał od śmiałych wniosków, jeżeli je zostawił potomnym, dowód to tylko wierności swemu zawodowi i umiłowaniu prawdy.

Ta sama nareszcie miłość prawdy skłaniała go do hojnych wydatków na upowszechnienie szacownych dzieł źródłowych historycznych, z których dość tutaj wymienić ostatnie tomy Wiszniewskiego, zbiór Theinera, wydanie w oryginale i przekładzie Kadłubka i Długosza. Wielkie koszty na te wszystkie przedsięwzięcia, na podróże naukowe, na poszukiwania archiwalne i archeologiczne, wreszcie na nieopłatne wydawnictwa, nietylko nie dawały widoków korzyści materialnej, nietylko nie zwracały nakładu, lecz nawet nadwierały fortunę. To jednak nie wstrzymywało Przeddzieckiego od coraz nowych przedsięwzięć, i jeszcze w ostatnich chwilach zamyslał po skończeniu Długosza przystąpić do wydawnictwa olbrzymiej kroniki Wapowskiego. Śmierć d. 26 Grudnia 1871 r. w Krakowie, dokąd był zjechał dla dopilnowania druku piątego tomu *Jagiellonek*, przecięła pasmo tych obywatelskich prac i zamiarów, prowadzonych z myślą dosadnie wypowiedzianą przez poetę:

Chociaż nie skończysz, ciągle rób:
Ciebie, nie dzieło, porwie grób.
Choć tu dla czynów krótko nas,
Czas wszystko skończy — bo ma czas.

ROŻA INFANTKI

z W. HUGO

(LEGENDA WIEKÓW)

przekład Klemensa Podwysockiego.

MALUTKA, BEZ PIASTUNKI ŻYĆ JESZCZENIE ZDOŁA;
MA RÓŻĘ W DROBNÉJ DŁONI — I PATRZY DO KOŁA.
LECZ CZYŻ WIE NA CO PATRZY? WÓD ŁONO PRZEZRO-

[CZE,

A NAD NIEM BRZOZY SMUTNE ZWIESIŁY WARKOCZE;
ZABĘDZ SREBRNY I ZWOLNA KOŁYSANE FALE
POD ŚPIEWNEMI KONARY; A DALÉJ WSPANIAŁE
OGRÓD PRZED NIĄ PROMIENNY, KWIECISTY, A ONA,
DZIEWECZKA ANIOŁ, JAKBY Z ŚNIEGÓW UROBIONA.
A TAM JAK NA TLE SŁAWY, PAŁAC OKAZAŁY;
PARK, SADZAWKI, DO KTÓRYCH ŁANIE SIĘ ZBIEGAŁY;
W DRZEW CINIENIU OKO BARWI BLASK PAWICH WACHLA-

[RZY.

NIEWINNOŚĆ JEDNĄ WIĘCEJ BIAŁOŚCIĄ W JĘJ TWARZY,
A WDZIEKI JĘJ, TO NIBY KISICE LILIJ DRZĄCE.
DOKOŁA NIĘJ, MURAWA W BRYLANTÓW TYSIĄCE
I RUBINÓW UTKANA, JAK KOBIERZEC DŁUGI;
Z DELFINÓW PASZCZ TRYSKAJĄ SZAFIROWE SMUGI,
ONA, STOI NAD WODĄ — I NA RÓŻĘ PATRZY.
GORSECIK JĘJ Z KORONEK, A OD NICH BOGATSI

MAFT, W SPÓDNICZKI JĘJ FAŁDACH, ZA SZTUCZNEMI
[ZWROTY
JEDWABIÓW FLORENTYŃSKICH, WIŁ SIĘ JAK WĄŻ
[ZŁOTY.

KWIAT RÓŻY, CO ROZKOSZNA, ROZKWITŁA, WSPANIAŁA,
JAKO Z URNY OTWARTÉJ Z KIELICHA WYJRZAŁA,
DLA DŁONI JĘJ MALUTKIÉJ BYŁ ZACIEŻKI. CZASEM,
GDY DZIECIĘ, KWIAT MUSKAJĄC USTEK SWYCH ATŁASEM,
MARSZCZYŁO NOZDRZE Z LEKKA, WOŃ WDYCHAJĄC,

[DUŻE

LIŚCIE KWIATU W KRÓLEWSKIÉJ, PRZEPYSZNÉJ PUR-

[PURZE,

W POŁOWIE ZAKRYWAŁY TO LICZKO ANIOŁA,
TAK, IŻ OKO ZŁUDZONE ROZRÓŻNIĆ NIE ZDOŁA
JUŻ RÓŻY OD DZIECIĘCIA I NIE WIE JUŻ WCAŁE,
CZY TO KWIAT, CZY JĘJ LICZKO I USTEK KORALE.
ÓCZ BŁĘKIT Z POD BRWI KRUCZÉJ DZIWNYM BLASKEM

[PŁONIE,

I WSZYSTKO W NIĘJ, TO POWAB, TO CZARY, TO WONIE.
WZROK JĘJ — NIEBO, A IMIĘ — MARYA. JĘJ OCZY
TO ŚWIATŁOŚĆ, A JĘJ IMIĘ, TO JUŻ HYMN UROCZY.
A JEDNAK, W OBEC ŻYCIA I NIEBA, ZAWCZEŚNIE
BIEDACTWO JUŻ WIELKOŚCIĄ CZUJE SIĘ JAK WE ŚNIE.
I PATRZY NA BLASK WIOSNY, MROK, ŚWIETLNE LAZURY,
NA SŁOŃCE, CO TAM W WIECZÓR STACZA SIĘ ZAGÓRY,
I NA CICHEGO ZMROKU PÓLSWIATŁA, PRZEPYCHY;
I SŁUCHA, JAK W UKRYCIU SZEPCIE STRUMIEŃ CICHY,
I PATRZY W TWARZ NATURY PROMIENNEJ, GODOWEJ,
TO DZIECIĘ JUŻ Z POWAGĄ MALUCZKIÉJ KRÓLOWEJ.
ZGARBIONĄ TYLKO POSTAĆ WIDZIAŁA CZŁOWIEKA;
ŚWIETNY KSIĘŻNÉJ BRABANTU TYTUŁ NA NIĄ CZEKA;
SARDYNIA JĘJ WŁADZTWO, LUB FLANDRÓW KRAINA;
JEST INFANTKĄ, PIĘĆ LAT MA, JUŻ GARDZIĆ ZACZYNA.
GDYŻ TAKIE DZIECI KRÓLI. ICH CZOŁA, GŁĘBOKI
CIEŃ OKRYWA ZAWCZASU, A CHWIEJNE ICH KROKI —
TO WŁADANIA ZACZĄTKI. WCIĄGA KWIATU WONIE,
ZA NIM PAŃSTWO JĘJ USZCZKNĄ I PODADZĄ W DŁONIE.
„TO MOJE!” OKO MÓWI I GŁÓWKA JUŻ MARZY;
I MIEOŚĆ JUŻ ZE ZGROZĄ ZMIESZANA W TĘJ TWARZY.
I GDYBY KTOŚ JĄ WIDZĄC WĄTŁĄ TAK, MAŁENKĄ,
CHOĆBY DLA JĘJ OBRÓNY ŚMIAŁ JĘJ TKNAĆ SIĘ RĘKĄ,
ZANIMBY KROK POSTĄPIŁ, JEDNO WYRZEKŁ SŁOWO,
JUŻ UJRZAŁBY SZAFOTU MROK CZARNY NAD GŁOWĄ.

I DZIECIĘ SIĘ UŚMIECHA, BO ŻYJE, BO PRZECIE
TRZYMA W DŁONI I PIĘŚCI PYSZNE RÓŻY KWIECIE —
I PATRZY, POŚRÓD WONI, W SŁOŃCE, W NIEBO WIOSNY.
DZIEŃ GAŚNIE; W GNIAZDACH JESZCZE SŁYCHAĆ SZEPT
[MIŁOSNY;

ZACHÓD W ŚWIETNĄ PURPURĘ OBLEKŁ PARK DO KOŁA;
W KARMINIE MARMUROWYCH BOGIŃ BLADE CZOŁA,
CO ZDAJĄ SIĘ PORUSZAĆ, CZUJĄC NOCY FALE;
CO LATAŁO, LOT ZNIŻA, NIGDZIE SZMERU WCAŁE,
NI PŁOMIENIA — I NOC JUŻ OSŁANIA MILCZĄCA
PTAKI LIŚCIEM, A SZATĄ PIERŚ ZNUŻONĄ SŁOŃCA.

GDY DZIECIĘ SIĘ UŚMIECHA ZE SWĄ RÓŻĄ W DŁONI,
W OBSZERNÉJ, KATOLICKIÉJ, SAMOTNÉJ USTRONI,
GDZIE W SŁOŃCU LŚNI JAK MITRA KAŻDY ŁUK PODWOI,
ZA OKNEM, PATRZ PRZECHODNIU, COŚ GROŹNEGO STOI.
JAKIŚ CIEŃ SIĘ PRZESUWA W MILCZENIU ZŁOWIESZCZÉM
OD OKNA WCIĄŻ DO OKNA I PRZEJMUJE DRESZCZEM.
TO CZASEM W JEDNÉM MIEJSCU, JAK DUCH ZAGROBOWY,
PRZESTOI DŁUGIE CHWILE, BEZ RUCHU, BEZ MOWY.
STRASZNE WIDMO, NIC, ZDA SIĘ, NIE WIDZI, NIE SŁYSZY,
Z KOMNATY DO KOMNATY BŁĄKA SIĘ WŚRÓD CISZY;
CZOŁO DO SZYB PRZYKLEI I COŚ MARZY SRODZE;
W PÓLBŁASKU CIEŃ SIĘ WLECZE DŁUGI PO PODŁODZE
CHODZI, A KROKI GŁUCHE, JAKO DZWON ŻAŁOBY;
TO ŚMIERĆ, GDY JUŻ NIE POSTAĆ KRÓLEWSKIÉJ OSOBY.
TO KRÓL. TO CZŁOWIEK, KTÓRY W SOBIE KRAJ JE-

[DNOCZY.

I GDYBY KTO ŚMIAŁ ZAJRZEĆ W TEGO WIDMA OCZY,
CO TAM O MUR OPARTE STOI NIERUCHOMIE,
TO UJRZAŁBY W TĘJ CZARNEJ PRZEPAŚCI OGROMIE,
NIE TWARZ ŚNIEŻNĄ DZIECIĘCIA, ANI OGRÓD WCAŁE,

ANI LAZUR GWIAZDZISTY, CO WÓD ZŁOCIŁ FALE,
NIE PARKI, NIE CHÓR PTAKÓW, — NIE! GROZĄ PRZEJĘTY
UJRZAŁBY W OKU SZKLISTÉM, JAKO FAŁ ODMĘTY,
POD BRWIĄ ZŁOWROGĄ, CIEMNĄ, SKRYWAJĄCĄ OKO,
ZA ZRENICĄ, JAK MORZE BEZDENNE GŁĘBOKĄ,
UJRZAŁBY MIRAŻ STRASZNY, OLBRZYMI, RUCHOMY;
PĘDZĄCE Z WICHRÓW PRĄDEM OKRĘTY — OGROMY,
NA GRZBIETACH FAŁ, POD NIEBIOS ZŁOTEMI NAMIOTY,
ON DOJRZAŁBY OLBRZYMIÉJ KOŁYSANIE FLOTY;
A DALÉJ — SKAŁĘ ŚNIEŻNĄ, CO SŁUCHA MILCZĄCA,
JAK GROMÓW TYCH PŁYNĄCYCH PRĄD FAŁE ROZTRĄCA.

O! TAKIE TO WIDZENIE, O TĘJ PORZE, BUDZI
I PRZEPEŁNIA MYŚL ZIMNĄ TEGO WŁADCY LUDZI.
I TO GO ŚLEPYM CZYNI NA WSZYSTKO DO KOŁA.
ARMADA, PŁYWAJĄCA DZWIGNIA, KTÓRĄ ZDOŁA
ON WSTRZĄSNĄĆ ŚWIAT I WSZYSTKO, CO MU W DRO-
[DZE STANIE,
W TĘJ CHWILI UKORZONE PRZEBYWA OTCHŁANIE.
ON GONI ZA NIĄ OKIEM. DLA TEGO OLBRZYMA,
W TRAGICZNYM NIEPOKOJU, INNYCH BLASKÓW NIEMA.

FILIP DRUGI, STRASZYDŁO. FBLIS W ALKORANIE
I BIBLIJNY ÓW KAIN, WALCZYĆ NIE SĄ W STANIE
W ESKURJALU O LEPSZE Z TYM CZARNOŚCI WZOREM,
Z KRWIĄ UPIORA CESARZA, Z TYM KRÓLEM — UPIOREM.
FILIP TO ZŁO W MIECZ ZBROJNE. NA WYŻYNACH ŚWIATA
ON WIDZIAŁEM BYŁ SENNÉM, CO PIERSI PRZYGNIAŁA.
ŻYŁ, A NIKT SIĘ NIE WAŻYŁ SPOJRZEĆ NAŃ. TORTURY
ROZLAŁY W OKÓŁ NIEGO BLASK DZIWNIE PONURY.
DRZAŁ JUŻ, KTO JEGO DWORZAN DOSTRZEGAŁ ZDALEKA,
TAK GO ZA JEDNO BRAŁA TRWOŻNA MYŚL CZŁOWIEKA
Z OTCHŁANIĄ I GWIAZDAMI; TAK WSZYSTKO DO KOŁA
WIDZIAŁO WIELKOŚĆ BÓŻTWA W CHMURACH JEGO
[CZOŁA.

WOLA JEGO UPARTA I ZŁOWROGA, TAMĄ
NIEPRZEBYTĄ COFAŁA PRZEZNACZENIE SAMO.
INDYE, AMERYKĘ GNIOŁY JEGO STOPY,
AFRYKI ON BYŁ PANEM, POSTRACHEM EUROPY;
ANGLIA TYLKO JEDNA DUMNIE SIĘ NAPUSZA.
JSTA JEGO MILCZENIEM, TAJNIĄ BYŁA DUSZA;
TRON JEGO Z PRZEWROTNOŚCI BYŁ ZBUDOWAN CAŁY,
A CZARNE MROKI NOCY WIERNIE GO WSPIERAŁY —
I KONNY KRÓLA POSĄG MIAŁ NOC ZA RUMAKA.
WSZECHMOCY TĘJ NA ZIEMI, SUKNIA, WCIĄŻ JEDNAKA —
CZARNA; NAD ŻYCIEM WŁASNÉM STAŁ NIBY W ŻAŁOBIE;
I BYŁ TO SMOK, CO WSZYSTKO, MILCZĄC, SCHŁANIAŁ
[W SOBIE.

JEN KAMIEŃ, BĘDĄC WSZYSTKIÉM, CÓŻ MIAŁ MÓWIC
[PRZECIE?
ŚMIEJĄCYM SIĘ NIE WIDZIAŁ NIKT GO TU NA ŚWIECIE;
JST JEGO UŚMIECH BAŁ SIĘ I TAK PATRZAŁ NA NIE,
JAK ZORZY BLASK DZIEWICZY NA PIEKIEŁ OTCHŁANIE.
JEŻELI SIĘ Z JASZCZURCZÉJ OTRZĄSAŁ MARTWOTY,
TO CHYBA GDY KAT BROCYŁ KRWIĄ OFIAR SZAFOTY.
BLASK STRASZNY JEGO OKA, TO BYŁO ODBICIE
OD ŁUNY STOSÓW, KTÓRE SAM ROZNIECAŁ SKRYCIE.
DLA MYŚLI I POSTĘPU BYŁ ON GROZBĄ, MŁOTEM;
DLA LUDZKOŚCI UPIOREM, DLA RZYMU DEWOTEM.
BYŁ TO CZART, KTÓRY RZĄDZIŁ W IMIĘ BOGA. SZAŁY,
CO W SNACH JEGO POCZĘTE, NA JAW Z DNIEM TRYSKAŁY,
STRASZNE BYŁY, JAK WĘŻÓW KŁĘBEK WSTRĘTNY,
[BRZYDKI.

BURGOS I ARANJUEZ, ESKURJAL, PRZYBYTKI
KRÓLEWSKIE, MIAŁY WIECZNIE GŁUCHE, CIEMNE SAŁE,
CO FESTYN, DWÓR I TREFNIŚ, TAM NIE ZNANO WCAŁE;
ZDRADA — BALEM, STOS, SZAFOT — UCZTĄ W NICH
[GODOWĄ.

KRÓLOWIE, W TRWODZE WIECZNEJ, CZULI NAD SWĄ
[GŁOWĄ
PLANY JEGO WYLĘGŁE W ŁONIE NOCY SZARÉM;
MYŚL JEGO PIERŚ LUDZKOŚCI PRZYGNIOŁA CIĘŻAREM;
ON CHCIAŁ I MÓGŁ, GDY ZECHCE, ŚWIAT ZGRUCHOTAĆ
[CAŁY;

MODŁY JEGO, JAK ECHA GROMOWE ZGRZYTAŁY;

Gdy dumał, błyskawice tryślały mu z czoła;
Ledwo na kogo spojrzy, „duszę się!” ten woła.
I ludy mu podwładne drżały zdjęte trwogą,
Czując tych ocz nad sobą parę, wciąż złowrogą.

KAROL-KROGULEC; FILIP W PARZE Z SOWĄ STANIE.

NIEMY, ZE ZŁOTÉM RUNÉM, W CZARNYM SWYM KAFTA-

[NIE

TO, RZEKŁBYŚ, STRÓŻ PRZEZNACZEŃ, ZIMNY JAK OPOKA,
MARTWOTĄ BUDZIŁ POSTRACH. ŻRENIKA MU Z OKA
ŚWIECI JAK BLASK Z PODZIEMIA. OTO MYŚLĄ GONI
ZA WIDMEM SWOICH MARZEŃ I RUSZENIEM DŁONI
ROZKAZY MROKOM NOCY WYDAJE I PISZE.

O DZIWIY! WYGRZYTANY UŚMIECH BUDZI CISZĘ.
UŚMIECH TO DZIWNY JAKIŚ, GORZKI, NIEPOJĘTY;
BO OTO, TAM, NA MORZU, ON WIDZI OKRĘTY —
ROSNA MU W WYOBRAŹNI, ON ZTĄD PATRZY NA NIE..
OT, PŁYNĄ, MYŚLĄ JEGO PCHNIĘTE NA OTCHŁANIE;
ON WIDZI JE, BUJAJĄ NIBY POD ZENITEM;
HA, DOBRZE! MORZE ZDA SIĘ DZIECKIEM UPOWITÉM
KORZY SIĘ PRZED TĄ FLOTĄ, JAK POTOPI WODY
PRZED KORABIEM NOEGO. ONA, BEZ PRZESZKODY
PŁYNIE; OKRĘTY IDĄ, JAK WOJSKA ODDZIAŁY;
TU POKŁADY, TAM MASZTY, TU ŻAGLI STOS CAŁY;
WIELKA, RZEKŁBYŚ, MKNIE TRATWA MORZEM UGLA-

[SKANÉM.

TE OKRĘTY, ŚWIĘTOŚCIĄ; FALE ICH PARKANEM;
I WICHRY, BY NA MORZE POPCHNĄĆ JE, Z POŚPIECHEM
ZLATUJĄ SIĘ, PRACUJĄ; NIEKARNOŚĆ TU GRZECHEM.
I MORZA PLUSK MIŁOSNY ZACHĘCA JE ZDALA,
SKAŁA W PORT SIĘ ZAMIAENIA, W KROCIE PERŁ FALA.
OTO, KAŻDA GALERA Z SWEMI GASTADURY,
JE ZE SKALDY, A TAMTE, ZE SREBRNĄ ADURY,
DWÓCH KONNETABLÓW, WODZÓW STU NA KRWAWE

[BOJE;

GERMANIA PRZYSŁAŁA GROŹNE ŁODZIE SVOJE;
WŁOCH — BRYGI; GALIONY — KADYKS; — MARYNARZY
LIZBONA, BO LWÓW TRZEBA NA TAKICH ŻEGLARZY.
I FILIP PATRZY; PRZESTRZEŃ NICZÉM DLAŃ; ŚRÓD CISZY
NIEDOŚĆ, ŻE WIDZI WSZYSTKO; NIE, ON WSZYSTKO SŁY-

[SZY.

CHODZĄ, BIEGNĄ, WOŁAJĄ, TRĄSKA CZUJNOŚĆ BUDZI;
SŁYCHAĆ KROKI I GWARY OKRĘTOWYCH LUDZI;
ADMIRAŁ NA SWYM PAZIU OPARTY; SZTAB CAŁY;
HUK KOTŁÓW, KAPITAŃÓW WRZASKLIWE SYGNAŁY.
CYT! HĄSŁO DO ŻEGLUGI, CZY DO WALKI; POTÉM
GROBOWY JAKIŚ CHAOS Z STRASZLIWYM ŁOSKOTEM.
KORMORANÓW TO KRZYKI? A TAM? FORTEC MURY
OD WZDĘTYCH ŻAGLI, W PRZESTWÓR LECI ŚWIST PO-

[NURY!

MORZE RYCZY, A POTWÓR PŁYNIE, PĘDZI, ZNIKA,
A CHRZĘST PO ZA NIM STRASZNY, PIEKIELNA MUZYKA.
I KRÓL SIĘ ZAŚMIAŁ. MIECZY OŚMDZIESIĄT TYSIĘCY
NA CZTERYSTU OKRĘTACH. HA, CZYŻ TRZEBA WIECIEĆ?
O, UŚMIECHU UPIORA, CO SWÓJ GŁÓD NASYCA!
ANGLIO, TYŚ JUŻ W JEGO WŁADZY, BŁADOLICA!
ZGUBA TWOJA NAD TOBĄ; I KTÓŻ CIĘ OBRONI?
FILIP ZARZEWIE GROMÓW DZIERŻY W SILNĄ DŁONI!
I KTÓŻ Z PRAWICY KRÓLA WYRWIE JE? ON PRZECIE
JEST WŁADCĄ, A GŁOS JEGO, WYROKIEM NA ŚWIECIE,
CZYŻ ON NIE KREW CEZARÓW? OD GANGESU FALI
DO PAUZILIPU, FILIP CZYŻ NIE MA WASSALI?
JEGO: „TAK CHCĘ!” CZYŻ ZŁAMIĄ SIŁY TU CZŁOWIECZE?
CZYLIŻ ZWYCIEŻTWA FILIP ZA WŁOSY NIE WLECZE?
CZYLIŻ NIE ON NAD MORZEM ZAPANOWAŁ DZIKIEM?
KTO TĘ FLOTĘ UZBROIŁ? KTO ZTĄD JĘJ STERNIKIEM?
NA CZYJ ROZKAZ TO MORZE FALE W PĘTACH TRZYMA?
I CZYŻ NIE ON NIEDBAŁÉM SKINIENIEM OLBŘZYMA
POPYCHA TE DRAKONY W PRZESTWORZU DĄLEKIEM?
I NIE JESTŻE ON KRÓLEM, DZIWNYM TYM CZŁOWIEKIEM,
W KTÓREGO MYŚLI CHMARA GMACHÓW TYCH POWITA?

ONGI, BEIT-SIFREZIL, SYN RÓWNIE BEITA,
NAD STUDNIĄ MECZETOWĄ KAIRU, TE SŁOWA
WYPISAŁ: „ALLACH NIEBOS, A JAM ZIEMI GŁOWA.”

A ŻE SIĘ DZIEJE ŚWIATA WSPÓLNYM WĄTKIEM PLOTĄ,
I ŻE WSZYSCY TYRANI JEDNYM SĄ DESPOTĄ,
WIĘC, CO ÓW SUŁTAN WYRZEKŁ, FILIP O TĘM MARZY.

TYMCZASEM, U SADZAWKI, ZE SPOKOJEM W TWARZY,
INFANTKA TRZYMA RÓŻĘ W SWĘJ MALUTKIĘJ DŁONI,
I CO CHWILA, Z CAŁUSEM USTA ZBLIŻA DO NIĘJ.
I OTO, POWIEW LEKKI, JEDNO TCHNIENIE OWO,
KTÓRE WIECZÓR POSYŁA W PRZESTRZEŃ LAZUROWĄ;
ZEFIREK, CO ZSZEDŁ MUSNAĆ SENNE CZOŁO ZIEMI,
PORUSZA WODY, WSTRZĄSA KRZEWY UŚPIONEMI,
DOTYKA SKRZYDŁEM MIRTÓW, ASFADIELI, POTÉM —
DOCIERA DO DZIEWCZYŃKI — I ZUCHWAŁSZYM LOTEM
PORUSZA BLIZKIEM DRZEWEM I... JUŻ PSOTNIK DUŻY,
ZDMUCHNĄŁ JĘJ DO SADZAWKI WSZYSTKIE LISTKIRÓŻY.
INFANTKA MA JUŻ TYLKO SAME KOLCE W DŁONI;
NACHYLA SIĘ I OKIEM ZA RUINĄ GONI;
ZDZIWIONA, NIE POJMUJE, CO TO WSZYSTKO ZNACZY?
BOI SIĘ, DRŻY I OKIEM ZGROZY I ROZPACZY
SZUKA W NIEBIE PSOTNIKA, CO JĄ ŚMIAŁ ZUCHWAŁE
OBRAZIC, LECZ SADZAWKA CAŁA W DZIWNYM SZALE;
TONIE PRZED CHWILĄ CICHE, JASNE, POCIEMNIAŁY;
FALA WSTAJE ZA FALĄ! OCEAN ZUCHWAŁY!
TU I OWDZIE ROZWIANA CAŁA PYSZNA RÓŻA...
STO LIŚCI, KTÓRE FALA PORYWA, ZANURZA,
WIRUJE NA GŁĘBINIE, PĘDZI NA WSZE STRONY,
Z PRĄDEM, KTÓRY PODNIECA WICHER ROZWŚCIECZONY.
RZEKŁBYŚ, TO W BEZDNI MORZA TONAĆCA ARMADA.

— „PANI!” Z OBLICZEM BŁADÉM PIASTUNKA POWIADA
DO DZIECKA, CO W ZDZIWIENIU O SWYM KWIATKU

[MARZY:

„WSZYSTKO TU, OPRÓCZ WICHRÓW, POD WODZĄ MO-

[CARZY.”

STANOWISKO

FRANCISZKA KARPIŃSKIEGO W LITERATURZE.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 1).

Dobitna odrębność stanowiska Karpińskiego w literaturze polskiej XVIII wieku, oczywiście nie była wypadkiem trafu, lecz sumą różnorodnych przyczyn, i to nader potężnych, skoro zdołały odwrócić go od ogólnego potoku nasładownictwa i poprowadzić od dawna zarosłemi drogami samodzielności. W rzedzie tych przyczyn za najdzielniejszą poczytać należy dziecinne wrażenia i pierwiastkowe wychowanie poety. Karpiński przyszedł na świat 4 października 1741 r. w głuchym zakątku ówczesnej ziemi Halińskiej, we wsi Holosków w powiecie Kołomyjskim. Pod ubogim dachem szlacheckim rodzicielskiego domu, całkiem usuniętego od wpływów owoczesnej dworszczyzny i wszelkiego rodzaju zepsucia, jakie przez bramy dworskie napływało do kraju za panowania trzech ostatnich Augustów, gnieździły się w najlepsze obok gorącej wiary prawdziwie gminne przesady. Zaczyna pani Rozalia Karpińska widywała swego starszego synaczka przychodzącego do niej po śmierci i dowcipnie odpowiadającego na pytania o życiu zagrobowém. Innym razem zjawiała się jej w widzeniu dusza w czyściu cierpiąca, a ponieważ to było po północy, złe zaś duchy zjawiają się przed 12tą, więc znająca się na tych rzeczach Karpińska budziła natychmiast całą rodzinę i domowników, ażeby przez trzy godziny wśród nocy odprawiali pacierze przy obiciu ściany, za którym nieznaną dusza zniknęła. Ojciec poety pan Andrzej pod tym względem nie ustępował żonie. Święty Józef przemawiał do niego z obrazu; Naj-

świętsza Panna w złotym robronie ukazywała mu się na niebie; widywał upiory i opętanych od dyabła; wiedział doskonale o czarownicach jeżdżących na ożogu i o lunatykach przez szczelinę wykradających się z izby. Te widzenia przejętej głęboką wiarą wyobraźni i te urojenia zabobonu tém większe wrażenie na młodocianym umyśle wywierać musiały, że dokoła spotykały tylko podziw i bezwarunkowe przyznanie.

Wszakże obok tych słabości nieodstępnych od szczupłego ukształcenia umysłowego, miał Karpiński w domu rodzicielskim żywe przykłady nieklamanej bogobojności, nieugiętej enoty, niezłomnego pełnienia powinności dobrego chrześcianina i obywatela. Wszelkie przekroczenia tych powinności przez dzieci, nieublagany ojciec, jak to widzimy z pamiętników poety, karał z prawdziwie rzymską surowością. Dziś taka surowość poczytuje się zwykle za szkodliwą, za nadwyrężającą poczucie godności w dziecku; nie myślimy też jej zalecać pieskliwemu dzisiejszemu pokoleniu. To jednak pewna, że rygor, w którym był trzymany Karpiński, że nawet policzek, który będąc już pod wąsem dla wypróbowania uległości odebrał od ojca, nie zatarł w nim ani przywiązania rodzinnego, ani uczucia własnej godności, w owych czasach wielkiego rozprężenia i służalstwa. Takie zadatki pobożności, enoty i hartu duszy, wyniesione z rodzicielskiego domu, rozwijała następnie szkoła w Stanisławowie i Lwowie, po raz tysięczny dowodząc niezwykłej potęgi obyczaju i przykładu zaczerpniętego w rodzinie. Karpiński kształcił się u Jezuitów we Lwowie na członka tego przemożnego zgromadzenia, do czego jednak nie przyszło skutkiem rozwiązania zakonu. U Jezuitów podobnie wychowywał się Ignacy Krasicki, Adam Naruszewicz, Dionizy Kniaźnin, a nawet Kajetan Węgierski: jakże różnemi jednak poszli drogami! Samo wyliczenie tych imion wskazuje, ile było przesady w bezwarunkowym potępieniu szkół jezuitkich, jak dalece bliższy był prawdy umiarkowany w sądach onich Buckle, i jak dalece bezmyślne było zwalanie winy rozprężenia ognisk rodzinnych na wychowanie szkolne. Z pomiędzy wyliczonych powyżej znakomitości literackich, Karpiński daje nam najwymowniejszy przykład wielkiej roli moralnej ojca i matki w narodzie.

Ich religijność przelana w pacholę, oczyszczona z naleciałości i nietolerancji przez wychowanie, lecz nigdy niewygluszowana ani pożytem w rozkiełznanym jak zawsze Wiedniu, ani ocieplaniem się o małpującą rozpazanie zagraniczne dworszczyznę w Warszawie, pozostała dożgonnym upominkiem dla poety. Kiedy inni w najlepszym wstrząsali prochy pogruchotanych bogów. Grecyi i Rzymu, kiedy sereca zajęcze nosiły na ustach groźne imiona Jowisza i Marsa, a wyzębione nadużyciem namiętności modliły się do Wenery i Kupidyna, Karpiński pierwszy wśród znakomitszych przedstawicieli piśmiennictwa, w zamęcie wyobrażeń XVIII stulecia, podniósł głos do „starego Boga ojców naszych,” z którego „rak żyjemy.” Od wzniosłego w swęj prostocie pytania Jana Kochanowskiego: „Czego chcesz od nas Panie za twe hojne dary?” naród polski nie słyszał nic równie serdecznego, równie mu z duszy wyjętego, równie namaszczonego czystością uczucia i spokojem religijnym, wreszcie równie nadobnego co do formy, jak te wierszowane modlitwy Karpińskiego. Po Kochanowskim, którego pienia religijne przeszły nawet do protestantów i dotąd się znajdują w ich kanonach, którego psalm: „Kto się w opiekę poda Panu swemu,” z ust na usta dotąd przechodzi u

ludu wiejskiego nawet nieumiejącego czytać, wielu w w. XVII kusiło się stroić lutnię wzorem Dawida. Próżne to jednak były usiłowania; prócz kilku pieśni, które dostały się do kantyczek, reszta całkiem się nie przedarła do mass ludowych. Pomimo szczerzego uczucia religijnego, technicznego w utworach szczególnie Grochowskiego, Kochowskiego, War-gockiego, pienia ich pozostały obce narodowi z powodu swojej wyszukaniej, a częstokroć dziwacznej formy. Następnie harfa religijna całkiem zamilkła, albo też odzywała się tak niesforne tony, jak w *Uwagach o śmierci Jezuitę Józefa Baki*. Karpiński dopiero otrząsnął ją z kurzawy i nastroił do tonu narodowego, a naród z końca w koniec krainy pochwylił jego pieśni i dotąd nie wypuszcza z pamięci. Nie potrzebujemy ich tutaj przytaczać, bo w miastach i wioskach, w świątyni i w domu, kiedy ranne wstają zoroze, kiedy ludzie przychodzą dziękować Panu w jego sieni, kiedy cierpią, bo zasłużyli, kiedy składają wszystkie swe dzienne sprawy, — westchnienia ku Niebu wznoszą się słowami Karpińskiego.

(D. c. n.)



RÓŻA INFANKI. Pomysł i rysunek Feliksa Sypniewskiego.

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Była to Francuzka, zręczna jak one są wszystkie, która jakiś czas zwróciła nawet oko słoneczne Króla Jegomości na siebie. I nie nazbyt

młoda, i nie bardzo piękna, ale śmiała, wesół i umiejająca się narzucić, bałamuciła tam wielu we Francyi, w Brukselli, w Dreźnie, a nakoniec w Warszawie... złapała tego nieszczęśliwego Piętkę, który ją skaczącą ujrzał, gdy potem szczebioczącą przy wieczerzy usłyszał, zupełnie

na operze będąc zobaczył sam tą skoczkę, zowiącą się Duparc.

Mówiono, iż tak mu się ona podobała naówczas, że po spędzonym wieczorze z nią, w towarzystwie hr. Vitzthum'a, Bunditza i innych panów, nie wydając się kto był, obiecał jej umieszczenie przy teatrze w Dreźnie, czego potem dotrzymał, gdy tam przybyła i wspólnie ją przyjąć rozkazał. Niedługo jednak trwały owe łaski królewskie i Duparc pozostała przy teatrze, który czasu bytności pańskiej, do Warszawy był przewożony. Miała przyjaciół na dworze i do wcipeń a wesółością bardzo się podobać umiała, dopóty póki się kto nie dopatrzył, iż w komedyantce tej wszystko było dobrze odegraną komedią.

Taka to „ballerina“ ładajaka, którą już w całej Europie nieraz znano z lekkomyślnego życia i polowania na worki — prostodusznego a zapalczywego Piętkę w sidła swe ułować potrafiła. Ani jej on był w głowie, słyszała tylko, że szlachciec był bogaty, widziała, że mu głowę zawróciła, korzystała więc z tego grając przed nim poważną osobę, jaką nigdy nie była. Dobrana ku temu ciotka stara, niby dozorczyń surowa, dopomagała niegodziwej istocie do uwodzenia Zygmunta. Przyjaciele byli go ostrzedz mogli i powie-

dla niej głowę stracił. Zręczna niewiasta, choć jej się podobał, umiała go zdala trzymać.

Król August II poznał ją był wypadkiem, gdy w polityce nie mając co czynić, a pańską zaspakajając fantazję, puścił się był incognito na wyprawę do Flandryi, pod nazwiskiem hrabiego de Torgau, z księciem Eugeniuszem Sabaudzkim i księciem Marlboroughiem, nie długo jednak tam pozostał, widząc, że się obleżenie Lille przeciąga, i na Bruksellę do Saksonii powracał, gdy

dzieć z kim miał do czynienia... ale ci więcej byli jej niż jego przyjaciółmi i do spisku należeli, śmiejąc się jak należało z oszałałego chłopca.

Dosyć że Piętkę po raz wtóry nie znalazłszy już w Warszawie panny Duparc języka tylko dostał, iż do Dreznna wróciła. Kazała mu pono nawet powiedzieć, iż tam na niego oczekiwać będzie. Walczył z sobą Piętkę dosyć długo, ale mu już oczy blachmanem zasłyły, że nie widział stokroć piękniejszej i powabniejszej żony, a ta Duparc mu się śniła a śniła.

Do Drezna tak z lada trzosiakiem pojechać o te czasy, i to jeszcze goniąc za kobietą na złoto łaskomą, a do wszelakiego zbytkowania przywykłą, nie było co i myśleć; w domu choć zapas się znajdował, od żony go żądać nie mógł i z pewnością by mu odmówiła: szarpnął więc cichaczem do Krakowa i tam u lichwiarzy, którzy majątek brali na cyrografy zbójce, pieniędzy nabrak. Żona o niczym nie wiedziała; po humorze mężowskim miarkowała, iż się coś święci złego, że knuje może—nie posadzała go jednak o otwarty bunt, zdradę i znanego człowieka o takie bałamuctwo bezwstydne. Na myśl jej nawet przyjąć nie mogło, żeby jej tak szkaradnie drapnął... w chwili gdy się układał właśnie jako najpowolniejszy małżonek i dawną czułość okazywać się zdawał.

U Okonia, ojca jejmości, bawił z dawien dawna brat jego, który był cały swój majątek nie wiedzieć jak utracił. Nieżonaty i już niemłody niegdyś wojskowo służywał, potem dzierzawami chodził, ogrody i wylewy wód go zniszczyły, a resztę, z desperacji głowę straciwszy.. puścił już sam nie pamiętając jak.

Imię mu było Eligi. Gdy o jednej już szkapie i wózku został, a nie wiedział gdzie się podziąć, starszy brat go przyjął, przytulił i jak zasiadł tu, już się nawykłszy nie ruszył. Był on tu, może lepszym niż niegdy na własnym, ekonomem, włodarzem, pełnomocnym i czego jeno było trzeba. Stryj ten i do dzieci Okoniów bardzo się był przywiązał, szczególnie zaś Elzusię lubił, potem gdy zamaż wyszła, czasami u Piętki przesiadywał. Gdy postrach przyszedł na biedną kobietę, że jej się mąż rozpuszcza i bałamuci, stryj przyszedł w pomoc i na Zygmunta naglądał. Człek był powolny nadto i nie zdążył szaleńca wysledzić, więc choć za nim jeździł, nie wytropił wcale.

Tak stały rzeczy, a pan Eligi po długiej bytności wyjechał był właśnie do braterstwa, gdy jednego dnia pod pozorem podróży w sąsiedztwo Zygmunta sumaryjnie żonę pożegnawszy, wyruszył z domu. Miał niby to na noc powrócić, przyszedł jednak wieczór—jegomości ani słycho. Bywało tak nieraz, że się ochoczo zabawiwszy w sąsiedztwie, zamiast wieczorem, nazajutrz dopiero przybywał; zatem żona się tym nie miała powodu niepokoić. Nazajutrz około południa, chodząc od okna do okna, wyglądała niewiernego małżonka, który do wieczora nie wrócił. Jeszcze w tym nie było nic tak nadzwyczajnego; trzeciego jednak dnia wysłała jejmość konnego, aby się dowiedział czy u sąsiada nie zachorował. Ale tam gdzie miał być nie widziano go wcale, a posłaniec tyle tylko chwycił języka, iż na gościńcu ku stolicy wiodącym pierwszego dnia pana Zygmunta widziano.

Elżunia jak była żywego temperamentu i nie nawidząca fałszu—unosła się już wielkim gniewem, iż przed nią śmiało ukryć podróż swoją, co nie dobrego nie wróżyło. Nie przewidywała jednak jeszcze, jak dalece był winnym. Dopiero w tydzień jadący z Warszawy książę wojewoda, spotkawszy się z Eligim Okoniem, powiedział mu w żartach: „Nie doczekacie się rychło Zygmunta Piętki, przybył do Warszawy za Francuziką w nadziei, iż tu ją znajdzie, a dowiedziawszy się, że do Drezna wróciła, poleciał za nią jak szalony i już bodaj na Szlązku albo i w Saksonii musi być.“ W pocziwym stryju aż zakapiało.

Cheiał z razu ukrywać niemiłą nowinę przed synowicą, lecz zmiarkował, że to się na nie nie zdało. Trzeba było rychło radzić, kobieta była śmiała, rezolutna, więc się przed nią tać nie godziło.

Siadł więc na bryczkę, i gdy tu jeszcze niepełność była, jak rychło, po bałamuciwszy się z Warszawy powróci, przybył pan Eligi do synowicy z nowiną.

— Niechaj Elżusia nie desperuje, rzekł, włosów pięknych nie targa, oczu jasnych dla bałamuta nie wypłakuj; nie będę jej tał, że ten frant nie do Warszawy nam zbiegł, ale za tą przekłątą Francuzką do Drezna drapnął. Gdzieś mu czaru zadali.

Elżusia zmarszczyła piękne brwi, usta zacisnęła: płomieniste na stryja rzuciła wejrzenie, wyprostowała się po rycersku i spytała:

— Zkąd to wiecie?

Naówczas stryj Eligi wypowiadał się jej zkąd

gła, a niktby oprzeć się jej nie mógł, oprócz takiego bałamuta jak Zygmunt, któremu już była spowszedniała. Nie daremnie więc stryj Elżuni lękał się jej podróży do Saksonii, dla niej samej, znając z opowiadań, co się tam na dworze i około dworu działo. Począł pilnie się opierać i odradzać—nadaremnie.

Elżusia oświadczyła, iż po męża pojedzie, dodając, że pewną jest sprowadzenia go nazad do domu.

Stryj Eligi osłupiał, ufał jednak, iż ojciec i matka od tej myśli odciągnąć ją potrafią. Była ona tak niezwykłą i w naszych obyczajach nie praktykowaną, iż zrazu stryj wierzyć nie chciał, aby na prawdę do tego przyjsz miało. Tegoż dnia zamierzał jechać do starych Okoniów, aby się z nimi naradzić dla uspokojenia bardzo rozdrażnionej Elżusi. Już konie stały przy ganku, gdy zobaczywszy je przez okno, jejmość zawołała:

— A to dokąd stryj myśli?

— Do Wulki.

— Czekażcie chwilę, tylko klucze i dyspozycję oddam Florkowej, boć ja z nim pojedę.

Zatém dobrze — rzekł w duchu Eligi, tam jej się to łąniej z głowy wybije. Przez całutką drogę jednak o niczym nie mówiła Elżunia, tylko o swęj podróży, wypytując ile dni trzeba było jechać do Warszawy i jak ztamtąd dostać się do Saksonii. Prawdą a Bogiem stryj Eligi dalej jak do granicy szląskiej nie wiedział, jego świat się tam kończył; jednak chcąc synowicę nastraszyć, jął jej opisywać, że tam i góry i pustynie i rzeki wpływ przebywać było potrzeba....

Słuchała z wielką uwagą, a na każdą rzecz miała jedną tylko odpowiedź: Przecie tamtędy ludzie jeżdżą? Stryj temu zaprzeczyć nie mógł, ruszała więc ramionami z uśmiechem — Tamtędy wszakże licho mojego Zygmunta poniosło; kiedy on się dostał, i ja dobić się muszę!

Stryj Eligi przebąkiwał coś o rozbójnikach w Tarnowskich górach, Elżusia z zimną krwią dodała. — Trzeba dobre pistolety wziąć.

W końcu widząc ten upór niezłomny, już stryj rachował tylko na ostrygnienie, — że gdy refleksja przyjdzie, owa odwaga i animusz ustąpić muszą... Tak dojechali do Wulki Okoniowskięj. W do-

mu był stary ojciec, jejmość matka i jedna z sióstr zamężnych, bo już były pod ten czas wszystkie za mąż powydawane. Skoczyła pani Zygmuntowa z wózka, a miała na sobie opończę grubą od wilgoci i buciki węgierskie na nogach — zrzuciła wierzchnią odzież i wbiegła do rodzicielskiego domu, na którego progu zdało się jakby ją nowy gniew i rozpacz opanowały. Ojciec i matka wyszli na jej spotkanie.

(D. c. n.)



Posessya Nr. 59. w Rynku Staromiejskim.

nowinę wziął, z której się w Warszawie śmiano.

Lza nie popłynęła z oka pięknej pani, gniewem tylko splonęła i hamując się odezwała do stryja:

— Takiemu szaleństwu jużby pobłażać było grzechem, i trzeba ratunku na to szukać. Mówcie sobie co chcecie, myślcie co się podoba, jam tu najlepszym sędzią co czynić wypada... Nie ma co czynić, trzeba za nim jechać.

— Komu? spytał stryj — a toć nie posłucha nikogo.

— Nie posłucha! radabym widziała! on mi to przecież w oczy spojrzeć nie śmiał, dodała Elżusia—albo myślicie, że ja kogo wyprawię,—pojadę sama.

Stryj tedy zakrzyknął, iż to na żaden żywy sposób nie może być, że myśl była nie do wykonania.... Kobięcie, młodej, pięknej, do takiego miasta, które za Sodomę i Gomorrę uważano.... jechać, było narażać się nadaremnie a bez pożytku dla swęj sprawy.

Elżusia była właśnie naówczas w samym rozkwicie wdzięku, tak, że każdego zachwycić mo-

PRZEGLĄD LITERACKI.

KILKA MYŚLI

O wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych,
przez A. D. Lwów 1871.

W rządzie zadań społecznych, kwestya wychowania opierając się przedewszystkiem na obowiązkach natury, a więc połączona z najbliższymi interesami jednostek, powołuje do pracy całą

ludzkość: słabych i potężnych, uczonych i prostaków. Współuczestnictwo to różnej zasługi, bo nie przez wszystkich należycie pojmowane, tém jest trwalszém i powszechniejszém, że względu szczególne spotkawszy się tu na jednej drodze z potrzebami ogółu, nie spychają się ze wspólnego gruntu, lecz owszem dopomagają sobie nawzajem. Każdy bowiem troskliwy ojciec, każda matka dbająca o dobro swego potomstwa, lub w zastępstwie rodziców sumienni nauczyciele i opiekunowie dążą w widokach prywatnych do tego właśnie, co w razie powodzenia, przynosi także korzyść publiczną. Starają się oni usposobić jak najlepiej wychowanców swoich do przyszłego zawodu, wyrobić w nich jak największą ilość sił, rozwinąć talenta, rozszerzyć wiedzę, słowem uzdolnić do zajęcia kiedyś w świecie odpowiedniego życzeniom stanowiska. A z rozsądnych i gorliwych usiłowań kierownictwa, zbierają późniejsi plony nie wyłącznie ci lub owi, lecz korzysta z nich cała społeczność, której w młodych ludziach przybywa nowy zastęp wykształconych obywateli. I odwrotnie, jeśli wychowanie nie powiodło się, strata ztąd wynikająca będzie podzielną ogólnie. Niewidoczna w pojedynczym zdarzeniu, da się ona uczuć w summie wypadków, zwłaszcza gdy ilość ofiar złego wychowania urosnie do tak znacznej liczby, że w końcu ją sama, a nie przeciwne objawy, za wyraz stanu rzeczy uważać wypadnie.

Wniknąwszy w trudność wyboru i stosownego użycia środków, za pomocą których jedno pokolenie przelewa cały spadek cywilizacji na drugie, nie podobna dziwić się autorce *Kilku myśli o wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych*, że w sprawie tak ważnej podnosi głos zawsze ostrożny, a czasem nawet nieśmiały, doradzając zmiany powolne, chociaż zasadnicze. Pani A. D. nie chce wdziierać się w tajemnice odległej przyszłości; przedmiotem jej badań są potrzeby dzisiejsze, stosunki obecne, które surowej poddaje krytyce. Zastanawiając się nad położeniem niewiast w społeczeństwie, rozbiera szczegółowo niesprawiedliwość i nielogiczność najbardziej upowszechnionych przekonań, a skazujących pod rozmaitemi pozorami kobietę na życie próżne, na mozolną bezowocność, na nieuctwo, na bierność, na ciągłą zależność. Przekonania te powstały ztąd, ztąd wzięło się i wiele innych tradycyjnych uprzedzeń. Jest to plód historii, który w naszych czasach usunięty już być powinien. Dopóki żyjący w barbarzyństwie człowiek za główne miał zadanie zabezpieczyć się od napadów, grożących co chwila dobytłowi jego, istnieniu lub swobodzie, póty siła fizyczna, owa to „energia ruchów,” o której wspomina autorka, energia muskularna, będąca bardziej udziałem mężczyzny niż kobiety, energia potrzebna do walki brutalnej w każdym dniu i dla każdego nowo kształtującego się społeczeństwa—musiała być wysoko cenioną i zdobywać dla siebie coraz rozleglejsze przywileje. Rycerz ochraniał wtedy rolnika i pasterza, mężczyzna bronił kobiety, ojciec, mąż i brat czuwał nad życiem i bezpieczeństwem rodziny. To nadało im powagę i przewagę wśród swoich, torowało mężczyźnie na jedyne, lub przynajmniej na szczególnie ważne pole możliwej podówczas publicznej pracy. Dziś już za daleko odskoczyliśmy od tych warunków życia i zwyczajów. Niewolnictwo w większej części zniknęło w krajach gruntujących niegdyś swój porządek ekonomiczny, obywatelski i państwowy na poddaństwie. Mężczyzna należący do kasty upośledzonej—a wiadomo czym były i czym są jeszcze dziś kasty u niektórych ludów—powrócił tu i owdzie do pierwotnych, do racjonalnych praw swoich... męż-

czyzna pamiętał o sobie, ale długo zapominał, i dotąd nawet nie bardzo o tém pamięta, co należy się słuszenie i oddawna towarzysze jego, współnicze trosk i zabiegów, jego matce, kochance, żonie, siostrze lub córce. Jakże ta niezmierna, ta ustawicznie nasuwająca się na oczy w domu i po za domem, w teoryach i doświadczeniu sprzeczność, nie ma przeszkadzać mu do odzyskania (czego tak pragnie) zasad pewnych a zgodnych z sumieniem i rozsądkiem, do postawienia ich na czele wyznań swoich i życiowych dążeń? Jak nie ma ten fałszywy a rozgłosny odźwięk, ta niesłuszność względem połowy rodzaju ludzkiego psuć harmonii postępu? jak nie ma wnieść zamęt do czynów i do pojmowania co jest dobrem, godziwem i koniecznym?

Pomimo mnóstwa faktów dowodzących jak dalece sądy o powołaniu i zakresie uzdolnień niewiasty na mylnych zwykle gruntach podstawach, szkodliwe uprzedzenia utrzymują się dotąd bez żadnych zmian prawie, a głos ludu powtarza naiwnie starą piosnkę o *marnym puchu*, o niższym organizmie, o fizyologicznych i umysłowych przywarach kobiety, które to niby czynią z niej istotę niezupełną, z wyroku natury ułomną i w porządku świata pozbawioną raz na zawsze wszelkiej samodzielności. Wszakże wywłaszczywszy w ten sposób niewiastę z praw rzeczywistych, wspaniałomyślny jej pan i chlebodawca w chwilach dobrego humoru raczy wynagradzać krzywdę hojną choć niekosztowną jałmużną, i wpadając w przeciwną ostateczność, rozprawia szeroko o *nieporównanych* enotach, o anielskim sercu, o wszechwładnym uroku płci nadobnej; udaje wiarę w jej nadzwyczajne posłannictwo, wnawia w siebie jakąś mistyczną cześć dla jej równie tajemniczego majestatu, byle tylko nie był zmuszonym do ustępstw nadwierzających w czémkolwiek jego własny monopol. Pochlebia mu to, że ów urojony cherubin, owo arcydzieło stworzenia, które sam podniósł w wyobraźni swojej do zenitu fantastycznej doskonałości (przyprawa dodaje smaku) jest koniec końcem jego powolną służebnicą, cackiem, narzędziem. To też obok najpoetyczniejszych hymnów uwielbienia domaga się on bardzo stanowczo, żeby niebianka zstąpiwszy raz na padół płaczu, nie ważyła się opuszczać dwóch miejsc przytułku, a raczej dwóch wież, w których (mówiąc prozą) cierpią być może: salonu i spiżarni. Odświętna grzeczność, wyrażająca się w goślośnych holdach, każe sobie drogę płacić za słodko brzmiące ogólniki. Co dziwniejsza, że kobieta społeczna jaśniej patrząca na rzeczy niż to było możliwem dla starożytnych i średniowiecznych matron, daje się jeszcze obalamować tym niesfornym pochwalem i mniemam, że ulepiona z innej gliny, inne też wśród ludzi powinna mieć przeznaczenie. Zdaje się jej, że nauka musi na zawsze pozostać dla niej skarbnicą zamkniętą, księgą nieczytelną, że prawdziwie pożyteczne wiadomości nie pomieszczą się w głowie kobiety, że myśl jej nie potrafi ogarnąć tego co zdoła pojąć pierwszy lepszy wyrostek, ale za to szczerze jest przeświadczoną, że ma na swoje rozkazy całą mądrość nadziemską, że skoro zażąda, posługiwac się jej będą niewiedomo ztąd czerpane natchnienia, i że za ich pośrednictwem łatwo uczyni załość choćby tylko dwom tym obowiązkom: matki i obywatelki. Dziwny pogląd, mówiny, ale tłumaczy się natęgiem uchodzącym za konieczność, zleniwiałością odziedziczoną w wiekowem puściznie zagnieżdżonych, pojęć, które ztąd wzięły źródło i trwałość, sferą towarzyską, która te pojęcia podtrzymuje, wpływem mężczyzny na kobietę (bo i to leczyć trzeba), a na koniec brakiem środków oddziaływania, brakiem współczu-

cia, brakiem cywilnej odwagi. Boć to rzecz wcale niewygodna sprzeczać się z sąsiadami—dla interesu ludzkości, ściągając na siebie nagane przyjaćciół, dla korzyści przyszłych pokoleń rozstać się ze spokojem, z życzliwością najdroższych osób, czasem nawet z dobrą sławą, dla tego tylko że kiedyś... komuś, po dziesiątkach lub setkach lat może to wyjść na dobre, chociaż ten ktoś wówczas już ani wspomni o poświęceniu się pierwszych obrońców prawdy. A życie i użycie mają swoją pokusę, swoją uroczą stronę... Wyrzec się miłej teraźniejszości dla wątpliwego jutra... czy warto? czy podobna?...

Są wyjątki, które inaczej myślą, i do nich chlubnie zaliczyć się może autorka kilku myśli, pani A. D. Stara się ona obalić przesąd nie zuchwałością mrzonek chwytyanych na chybił-trafil, ale ścisłą argumentacją. Sądzi wszechstronnie, nie osłabiając wniosków żadnym wysnutym *a priori* domysłem, żadnym dowolnym, i dla popisu przycepiionym schematem. Im wyżej ceni doniosłość zadań płci swojej, tém usilniej upomina się „o przyznanie kobietom praw, jakich potrzebują dla wypełnienia swjej powinności,” to jest, żąda dla nich swobody ruchu i wykształcenia. Innych bowiem praw, według zdania autorki, kobieta „nie ma wywalczać, ale je ma *wysłużyć*; ma je zdobyć nie szermierką pióra, ale pracą i zasługą; może je otrzymać niejednorazowie, ale *stopniowo* w miarę jak do nich duchowo dorastać będzie.” W jakich zaś granicach zamkną się owe *wysłużone* prawa w przyszłości, autorka nie daje na to odpowiedzi. Może nie wie, może nie chce wiedzieć, ale o tém nie wątpi, że być *dobrą* matką i *dobrą* obywatelką, to już wielki obszar działań dla kobiety, to ogrom pracy i niepospolita umiejętność, której nie nabywa się od razu i byle jakim sposobem. Żeby umieć wychować dzieci, trzeba samemu otrzymać wzorowe wychowanie; trzeba pracować, uczyć się, ćwiczyć myśl, wzbogacać pamięć, zastanawiać się nad rzeczami poważnemi i do poważnych dojść przekonani. A czegoż nauczy syna matka niewykształcona? jakie mu da pojęcie o świecie, o społeczeństwie, których sama nie zna i nie dobrze rozumie? jak odkryje przyczynę błędu w późniejszym życiu swych dzieci, jeśli o samém życiu nie ma należytego wyobrażenia? jak odróżni fałszywe kroki, jeśli nie zdaje sobie sprawy z kierunku?... W wychowaniu czujność powinna być świadomą niebezpieczeństw, rada praktyczną, pomoc zbawienną—tych zaś warunków nie zastąpią ani przestrogi *na wszelki wypadek* udzielane, ani zapasowe recepty moralne.

(d. c. n.).

KORRESPONDENCYA.

Lwów w Grudniu.

Ktoby chciał zdjąć fotografię tutejszego ruchu umysłowego, towarzyskiego, literackiego i artystycznego, byłby w niemałym kłopotcie. Życie tutejsze przedstawia się jakby rozprysnięte zwierciadło, z którego każdy odłam odbija co innego, z którego nie powiązanych z sobą chęci i dążeń, drobniagowych zawiści i kierunków bez ładu i składu, tworzących kalejdoskopowy chaos. Nie wiem ztąd to pochodzi, nie będę się wdawał w dociekanie przyczyn takiego stanu rzeczy, ale to pewna że od dawna Lwów sławny z tego, iż wszystko tutaj rozbija się na koteryje, koteryjki rozdrabniające się tak nieskończenie, iż ostatecznie nie każdy sam jeden sobie tworzy swoją koteryję i własnym chodzi obozem. Wszyscy mają sobi

coś do zarzucenia, jeden na drugiego patrzy z ukosa. Dzienniki nasze kłóca się z sobą, ludzie swarzą się, a co gorsza, iż spory i kłótnie pochodzą najczęściej z osobistych pobudek, z drobiazgowych zawiści, przenoszonych następnie na rozleglejsze pole spraw publicznych. Nie ma wężła, co by rozproszone siły zjednoczył i spotęgował w jednym lub drugim wskazanym kierunku; nie możemy zdobyć się na utworzenie jakiegos ogniska, w którémby życie nasze umysłowe, koncentrując swe promienie, żywszym zapłonęło blaskiem. Mamy dwa kasyna, ale tam zjada się tylko obiad i wieczerza, lub przejrzawszy kronikę i telegramy dzienników, zasiada do preferansu; mamy literatów, ale nie mamy pisma literackiego, bo illustrowana *Strzecha*, starając się być pismem przynoszącem rozrywkę umysłową swym czytelnikom, nie ma zamiaru być obrazem ruchu literackiego, — a tutejszy *Dziennik literacki* skonął przed rokiem na suchoty, w skromnym kółku dwustu zaledwo czytelników, ciekawych co się też tam dzieje w sferze ruchu literackiego. Literaturę pochłonał po większej części felieton gazet politycznych i literatura źle na tém wychodzi. Z poważnej myślicieli przeobraziła się w błyskotliwą wietrznicę, a jeśli poważniejszych dotyka kwestyj, to tak powierzchownie i pobieżnie, jak przystało jednodniówce w felietonowe wcisniętej ramy. Z licznych towarzystw, które się tu w przeciągu kilku lat ostatnich zawiązywały, chcąc koniecznie szklarnianem ciepłem wywołać jakieś pełniejsze zbiorowe życie, — wszystkie kolejno upadły lub upadają, wiodąc ślimaczy żywot. Towarzystwo naukowo-literackie skonowało nim jeszcze żyć rozpoczęło. Towarzystwo przyjaciół sceny nie może się zdobyć na uczciwe uposażenie szkoły dramatycznej. Wydział Towarzystwa czyni nadludzkie usiłowania, aby przewlec jęj istnienie, a professorowie uczą bezpłatnie i szkoła stoi jedynie ich poświęceniem. Mamy co rok Wystawę obrazów, urządzoną przez Towarzystwo sztuk pięknych, ale miejscowi malarze nie dają na nią swych obrazów: jeden dla tego, że mu w zeszłym roku żadnego z jego obrazów nie zakupiono lub zaniska za nie cenę ofiarowano; drugi, że go za mało pochwalono w gazetach; trzeci, że znów tamtego zanadto pochwalano; czwarty i dziesiąty po prostu dla tego, że nie malują, — i ot czém się dzieje, że na wystawie lwowskiej najmniej widać Lwowa. A tak wszędzie gdzie się zwrócić, spotykamy rozstrojenie, rozprężenie i apatyę, które zaiste nie bywają wielkich dzieł kolebką. Ale zapomniałem — mamy jedno Towarzystwo, które w porównaniu z innemi świetnie się rozwija: jest to Towarzystwo muzyczne pod dyrekcją uwielbianego naszego pianisty Mikulego. Zamiłowanie w muzyce magicznym u nas wpływem owłada umysły. Wirtuozów mamy nie wielu, ale muzyki pełno wszędzie. Najpiękniejsza prelekcja nie ma słuchaczów, na najwznioslejszej tragedji pustki w teatrze, najlepsza książka zalega niepostrzeżenie półki księgarskie, a dziennik umiera z braku czytelników, — ale koncert zawsze znajdzie miłośników zapelniających salę. Na koncercie zawsze jeszcze można u nas niezły zrobić interes, a skrzypek zawsze może być pewniejszy dobrego przyjęcia od profesora. Jesteśmy tak muzykalni, że nie ma domu w którymby nie brzęczał fortepian, skrzypki, a w najgorszym razie przynajmniej gitara; i w tej chwili kiedy to piszę jestem jakby morzem tonów oblany. Za ścianą słyszę powtarzające się bez końca gammy; sąsiad po drugiej stronie skrzypi zacięcie od godziny piątej z rana; nademną tłucze ktoś niemilosierznego walca, a z ulicy dobiega echo poswistywaną przez kogoś z przechodzących arii

z *Księżniczki Gerolstein* przedstawianej wczoraj w teatrze niemieckim, który, mówiąc nawiasem, zamyka swe podwoje z Wielkanocą, i zaprzestanie dręczyć uszy nasze lichą swą operą i płaskimi farsami, wysysającemi dotąd fundusze dobroczynnej fundacyi drohowskiej s. p. Skarbka. W ciągu zimy urządza Towarzystwo muzyczne przepisane statutami koncerta w tutejszej wielkiej sali radnej i ośmnaście wieczorków muzycznych w sali Zakładu Im. Ossolińskich, gdzie już w zamkniętém wieczerz gromie, *en famille*, zbierają się muzycyści wykwalifikowani i znawcy, chociaż wieczorki te są także publiczne, podobnie jak i koncerta. Doliczywszy do tego cały szereg koncertów na różne dobroczynne cele, co rok regularnie urządzanych, i koncerta koncertantów obcych przejeżdżających, zrobicie sobie jakie takie wyobrażenie, w jakim to morzu harmonii opływamy, my którym tak trudno o harmonię na każdym inném polu życia umysłowego i towarzyskiego. A wszakże to nie dalej jak w upłynionym miesiącu mieliśmy pięć koncertów Józefa Wieniawskiego, trzy Miszki Hausera, jeden Władysława Tarnowskiego, a oprócz tego jeszcze parę innych już ściśle miejscowych. Kiedy zszedłszy się ostatnim razem z Mikulim, zapytałem go o przyszły sezon koncertowy, rozłożył przedemną na ogromnym arkuszu program zimowy: do Wielkiéjnoy nie mniej nie więcej jak dwadzieścia sześć koncertów i wieczorków muzycznych pod jego kierownictwem, których program już całkowicie z najdrobniejszych szczegółami obmyślony i ułożony, jakby plan wielkiej kampanii, w której Beethowena, Chopina, Schuberta, najczęściej powtarzających się dojrzałem. Oprócz tego drugi nasz znakomity pianista Marek urządza co tydzień wieczory muzykalno-deklamacyjne w kassynie mieszczańskiem, na które członkowie kassyna z rodzinami swemi licznie uczęszczają.

A więc muzyka i muzyka wszędzie. Jeżelibyśmy się chcieli usunąć na chwilę od tego zalewu harmonii i wytehnąć pożyteczniejszemu zajęciom umysłowem, to już chyba zajrzyjmy w godzinie popołudniowej do wielkiej sali radnej, zapelnionej niewieścim gromem słuchaczek uczęszczających na urządzone umyślnie dla płeć pięknej przez Towarzystwo pedagogiczne wykłady naukowe z rozmaitych gałęzi umiejętności, które jedne, z licznych w latach dawniejszych urządzanych rozmaitej treści wykładów, utrzymały się i pozyskały u nas wziętość. Sto kilkadziesiąt słuchaczek zbiera się tutaj codziennie, aby zaznajomić się z literaturą, z historią, z zasadami psychologii i higieny, które to przedmioty zostały w tym roku do wykładu przeznaczone. Cena wstępu jest bardzo niska, a przy tém jeszcze, ciocie, mamy, krewne i dozorecznie towarzyszące panienkom, otrzymują wstęp bezpłatnie; te skracają sobie czas pończochą lub jaką szydełkową robotą, a zdarza się i zdrzemnąć czasem, ale za to młodsze pokolenie słucha z takim zajęciem, tyle ołówków czynnych biega po papierze zapelniając notatkowe książeczki żądnych wiedzy dziewczeczek, iż z radością przychodzi patrzeć na tę gorliwość, rokującą tyle pożytku dla społeczeństwa przyszłego, i uczuwa się wdzięczność dla Towarzystwa pedagogicznego, iż wpadło na tak dobry pomysł zastąpienia braku wyższej szkoły dla kobiet temi odczytami. Jest to też dotychczas najlepszy, prawdziwie użyteczny owoc z całego działania przeróżnych naszych towarzystw, bojujących najczęściej za wiele słowami, a za mało czynem.

A kiedy już mowa o nauce i nauczaniu, nie można pominąć wiadomości o założonej tutaj w zeszłym miesiącu szkole leśnictwa, która u nas niezmiernie była potrzebną. Gospodarstwo leśne

w Galicyi w ogóle najgorzej dotąd było prowadzone — pomimo iż w lasach wielkie posiadamy bogactwo. Niezmiernie przestrzenie karpackich pogórzy wystrzelają lasem przypominającym w miniaturze dziewicze lasy amerykańskie, — rosnącym na wolę bożą, bez dobrodziejstwa umiejętnego pielęgnowania, co by umiało zeń należyta wyciągnąć korzyść. Łopatynskie, nadbużańskie lasy dostarczyły nie mało już drzewa masztowego marynarkom państw zagranicznych, a kolosalne pnie jodeł tamtejszych ogromem swym i słoju czystością wzbudzały podziw na niejednej wystawie zagranicznej. Ale dziś już nie byłoby co posyłać z tamtąd na popisy leśnicze do Londynu i Wrocławia; potrzebowałoby je do szcztetu, że użyję wyrażenia poety, „cudzoziemska kupiecka siekiera,” bo nie umiano nalezyć gospodarzyć i zmarnowano zasób nieprzebranąj wartości. W chwili zwłaszcza obecnej, gdy Galicya ma się wkrótce okryć siecią kolei żelaznych, które wraz z już istniejącymi stworzą szachownicę komunikacyj, przerysujacą kraj we wszystkich kierunkach, — dziś zwłaszcza należy szczególniejszą baczność zwrócić na rozumne zużytkowanie lasów i dobre gospodarstwo lasowe, inaczej bowiem smok kolejowy pochłonie i puści nam z dymem lasy nasze, nim się opatrzymy ileśmy uronili bogactwa krajowego. W takiej chwili szkoła leśnicza była rzetelną pieką potrzebą, bo bez usposobionych ku temu naukowo ludzi, jakże pomyśleć o dobrej gospodarce? Ale jak wszędzie tak i tutaj zapobiegliwość jednego człowieka wyższej myśli i energicznego usposobienia dokonała tego, co uznane za dobre w teorii, inaczej byłoby Bóg wie kiedy zostało wykonanem. P. Henryk Strzelecki, wiceprezes Towarzystwa gospodarskiego, teoretycznie usposobiony i praktycznie doświadczony leśnik, mąż znanych w kraju zasług na polu ekonomicznym, zajął się utworzeniem szkoły leśniczej i przywiódł do skutku myśl pożyteczną. Inauguracja uroczysta szkoły, umieszczonej tymczasowo w gmachu akademii technicznej, odbyła się w końcu zeszłego miesiąca. Nauki wykładają w niej częścią professorowie zakładu rolniczego dublańskiego, częścią inni professorowie szkół tutejszych; przeszło pięćdziesiąt uczniów uczęszcza do szkoły, rokującą pożyteczny plon dla kraju.

Z końcem roku mamy jeszcze do zanotowania ważny szczegół z pola literatury, mianowicie zupełne wydanie pism ekonomicznych Supińskiego, dokonane własnym nakładem autora. Dzieła ekonomiczne Supińskiego nie zyskały dotąd należytej u nas wziętości, jakkolwiek krytyka naukowa pochlebnie się o nich wyrażała, oceniając wysokie stanowisko autora na polu przezeń uprawianem. Wychodziły one częściowo, a na wydanie zupełne nie można było zebrać nakładu drogą przedpłaty, bardzo z wolna postępującej. Tym czasem los pomyślny dostarczył autorowi funduszu na nakład i tej pociechy, iż ociemniały w sędziwym wieku pozostawi zebrany razem owoc prac swoich, pozostających dotąd w rozproszeniu.

Całe dzieło składać się będzie z pięciu tomów. Dwa ostatnie już wyszły i zawierają pomniejszych rozprawy ekonomiczne, tudzież dawniejsze z czasów młodości utwory belletrystyczne Supińskiego. Trzy pierwsze tomy mają się ukazać z Nowym Rokiem i obejmą cały system ekonomiczny naszego autora zawarty w dwóch uzupełniających się dziełach pod tytułem: „*Myśl fizjologii ogólnej*” i „*Szkola gospodarstwa społecznego*.” Wyszło tu także nakładem księgarni pp. Seyfarta i Czajkowskiego dziełko Władysława Łozińskiego pod tytułem: „*Z estetyki i z życia*.” Jest to szereg wykładów, które autor miał zeszłej zimy dla kobiet. Jakoż treść rzeczy stosownie dobrana czyta

się z przyjemnością ile że napisana lekko i gładkim stylem. Autor przedsięwziął wskazać, iż powołaniem kobiety w społeczeństwie jest nadawać życiu towarzyskiemu wyższe i szlachetniejsze estetyczne formy, i osnuł rzecz na pamiątkach z końca ubiegłego wieku, z których wyjął obrazy ówczesnego towarzyskiego życia.

WIADOMOŚĆ

O POSESSYI Nr. 59 W RYNKU STAROMIEJSKIM

w Warszawie.

Najstarożytniejsza część Warszawy mieści się w obrębie dzisiejszego Zamku i Starego miasta z przyległymi ulicami. Budowle w nich niektóre sięgające XIII i XIV wieku, kształtem zewnętrznym i urządzeniem wewnętrznym, pomimo nieumiejętnych ich przeistoczeń, pozostawiły jeszcze liczne ślady swęj dawności i stylu podług epoki w jakiej były zbudowane. Żeby więc ocalić i te okruszyny typu wiekowego, pożyteczną jest rzeczą, abyśmy przy rozpowszechnionych obecnie ilustracjach, drzeworytnictwie i fotografiach, takowe z paszczy pożerczego czasu wydarli.

Pomiędzy wielu kamienicami, jakie w rynku Starego miasta swoją dawnością odznaczają się, policzyć także można i nieruchomość pod Nr. 59 dawnym położoną, a której podwórze w wizerunku przedstawiamy. Zbudowanie jej możemy odnieść do pierwszej połowy XV wieku. W roku bowiem 1431 cały prawie rynek Starego miasta, składając się po większej części z domów drewnianych, ze szczerem zgorzał. Troskliwy o całość swęj stolicy książę mazowiecki, żeby stanowczo takiej klęsce raz na zawsze tamę położyć, wydał rozkaz, aby odtąd żadnych budowli drewnianych w tej części miasta nie wystawiano; ale i te aż do czasów Zygmunta III były jeszcze gontami kryte.

Posessya ta położona przy rynku Starego miasta, ma dziś także drugi tylny front od ulicy Brzozowej. Z jakiego powodu to powstało, wyjaśnić nam należy. Kiedy Warszawa po raz pierwszy otoczona została murami obronnymi, w roku 1379, na mocy układu Janusza księcia warszawskiego z obywatelami, wówczas część tych fortyfikacyj, przechodziła koło samych tyłów tejże posessyi. Gdy jednak w pierwszej połowie XVIII wieku, miasto znacznie bardzo swój obręb miało zwiększony, tak dalece, iż dawny jego okrąg zaledwie $\frac{1}{10}$ część powierzchni zwiększonej wynosił, że zatem mury zaledwie $\frac{1}{10}$ część budowli i ludności miasta zakrywały; wówczas magistrat zaczął odstępować pojedynczym właścicielom części murów przy ich posessjach przyległe, za stosowną opłatą pieniężną, lub oznaczeniem czynszu emfiteutycznego. Świeże trokliwe badania p. Wilhelma Kolberga (*) wykazały nam dokładnie, że cała połać ulicy Brzozowej zaczynając od Kamiennych Schodków do

ulicy Celnęj, zachowała jeszcze szczątki tego muru obronnego, który ponieważ miasto odstąpiło pojedynczym właścicielom, posessya więc pod Nr. 59 zyskała także drugi front od ulicy Brzozowej.

Jeden z gorliwych obywateli warszawskich nazwiskiem Działot był jej właścicielem w XVII wieku. Sumiennosc i prawosc tego obywatela w usługach dla miasta, uczyli mieszkańcy przez długi przeciąg czasu mianując tę posiadłość Działotowską. Dla czego by jednak ta kamienica w późniejszym czasie była przezywana *pod Fortuną*, niewiadomy nam jest powód.

Za panowania Władysława IV ówczesny właściciel tej nieruchomości, tyle zasłużył się miastu i krajowi, że monarcha ten przywilejem z dnia 22 Grudnia roku 1635 uwolnił na wieczne czasy tę kamienicę od exoficjów, to jest od przyjmowania bezpłatnego gości w czasie sejmów lub innych uroczystości krajowych (*).

Później nieco przeznaczono tę nieruchomość na mieszkania dla posłów zagranicznych, którzy w nią stawiali aż do objęcia tronu przez Augusta III, to jest do r. 1733.

W czasie pierwszego numerowania domów Warszawy w roku 1784, posessya ta pozyskała liczbę 59 i wtedy miała od frontu rynku staromiejskiego sklep 1, okien frontowych po trzy na trzech piętrach, w szerokości łokci kor. 11; zaś od ulicy Brzozowej po dwa okna o jednym tylko piętrze, w szerokości łokci kor. 13.

Podług wymiarów z r. 1790, posessya ta miała dwa podwórza; wejście do jednego z nich od Starego Miasta, wraz z głównymi schodami do tej części domu, przedstawiamy w rysunku.

W tym to czasie, podług taryfy urzędowej z r. 1784 (MS), właścicielem tej nieruchomości był słynny doktor z epoki Stanisława Augusta, Jan Chrzecił Czemiński, który oprócz tego miał kilka sąsiednich nieruchomości pod liczbami 215 i 216 przy ulicach Gnojnej i Brzozowej położonych. Przy regulacji hipoteki za czasów pruskich w r. 1801, właścicielem tej kamienicy był jeszcze Czemiński wraz z żoną Prowidencją z Fontanów. Po nich kolejno ją posiadali od roku 1822 Jan Zawisza, Julia z Zawiszów Skłomińska, Jan i Felicyanna ze Stęczyńskich Lindnerowie, Józefat Cybulski, Aleksander Brujewicz, Kiwa i Cecylia Lebenthalowie, Jan i Paulina Baumgartowie, Franciszek i Karolina Dzwonkowsy, wreszcie od r. 1869 Gustaw Meizner.

W r. 1818, kiedy ratusz staromiejski w samym rynku położony, jako zacieśniający bardzo miejscowość, został rozwalony, posiadłość ta wraz z wszystkimi sąsiednimi w tej połaci rynku, zyskała bardzo wiele na odsłonięciu obszernego widoku na cały plac staromiejski, gdzie jak wiadomo, od najdawniejszych czasów utrzymywał się targ najważniejszy na wszystkie towary i produkty, a dziś na kupno żywności.

Notujemy tu wreszcie jeden szczegół z przeszłości tej kilkowiekowej kamienicy. Między ratuszem staromiejskim a tą połacią rynku, którą *stroną prawą* albo *czwartą* przezywano, naprzeciw tej kamienicy była umieszczona klatka żelazna, przezywana *kabatem*, *kuczą* albo *koszem*.

W niej osadzano za karę występne służi, gwałcących sprzedają dni świąteczne, przekupki przed godziną 10 z rana zakupujące hurtowo żywnosc z wozów, a w końcu XVIII wieku osadzano w niej piekarzy i rzeźników, krzywdzących publiczność na wadze lub na produkcie. Tych ostatnich po wyjściu z tej klatki, chłostano oprócz tego i smagano publicznie.

Utrzymywała się jako zabytek średniowieczny do roku 1810, w którym z rozkazu prefekta departamentu Warszawskiego, w tymże roku w miesiącu Czerwcu rozebrano ją i materiały przez publiczną licytację sprzedano. (*)

Aleksander Wejnert.

ROZMAITOŚCI.

— Przed dwoma laty zaczął w Krakowie wychodzić Przewodnik ekonomiczny, pismo poświęcone sprawom rolnictwa, przemysłu, handlu i ubezpieczeń, wydawane staraniem Towarzystwa gospodarczo-rolniczego krakowskiego Banku galicyjskiego dla handlu i przemysłu, oraz krakowskiego Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń. Przewodnik, pomimo pozyskania debitu pocztowego w Królestwie, nie mógł pozyskać odpowiedniej liczby prenumeratorów i chromając zaledwie dożył dwóch lat istnienia. W N. 52 z dnia 24 Grudnia, Redakcja Przeglądu donosi o zawieszeniu wydawnictwa do chwili pomyślniejszej. Smutny to fakt, chociażby dla tego, że upadek Przewodnika zrazi zapewne każdego na długo od przedsięwzięcia wydawnictw ekonomicznych.

— Początek nowego roku wzbogacił literaturę peryodyczną dwoma nader obiecującymi nabytkami. W dniu 2-m Stycznia opuściły prasę pierwsze numery „Niwy“ dwutygodnika naukowego, literackiego i naukowego, — i „Przyrody i przemysłu“, tygodnika popularno-naukowego. Obie publikacje zalecają się starannym doborem artykułów, jak o tém treść numerów przekonywa. Pierwszy numer „Niwy“ zawiera następujące prace: Do Czytelników, — Duch i Mózg“ rozprawa psychofizyologiczna Juliana Ochowicza — Dwaj poeci włoscy z XIX wieku, studium literackie Tomasza Zawadyńskiego — Kronika miejscowa — Korrespondencye — Przegląd piśmiennictwa polskiego — Meteorologia i jej najnowsze postępy — Wiadomości z Cesarstwa — Bibliografia. — Treść „Przyrody i Przemysłu“ jest następująca: Nauka i Użyteczność — Przyczyna ciepła i jego znaczenie w naturze — Głód, podług Lewesa — O kopiowaniu rysunków za pomocą fotografii — Tablice miar systemu metrycznego i rozmaitych prędkości — Kronika najnowszych odkryć, wynalazków, i t. d. — Bibliografia — Ciała niebieskie albo światy planetarne i gwiazdowe, przez O. M. Mitchell'a.

— W tych dniach mają się odbyć na kolejach pruskich próby nowego sposobu ogrzewania wagonów, za pomocą chemicznie przygotowanego węgla. Ogrzewanie próbowane będzie w wagonach wszystkich trzech klas.

— Niemcy zapragnęli zająć na wszystkich polach działalności ludzkiej. Po Anglii podróżuje obecnie trupa opery komicznej niemieckiej. Nie szczególnie jednak robi interesa.

(*) Przywilejem Jana Kazimierza z r. 1656 potwierdzono tę swobodę.

(*) Obszerniejsze szczegóły o tém ogłosiłem w *Starożytnościach Warszawy*, tomie V.

(*) Biblioteka Warszawska za Marzec 1870 r.

Treść: Aleksander Przezdziecki. — Róża Infantki, Wiktora Hugo, — przekład Klemensa Podwysockiego. — Stanowisko Franciszka Karpińskiego w literaturze (c. d.) W. Korotyńskiego. — Herod-Baba — powieść J. I. Kraszewskiego. — Przegląd literacki, Dionizego Henkiela. — Korrespondencya ze Lwowa. — Wiadomości o posessyi Nr. 59, Aleksandra Weinerta. — Rozmaitości. — Ryciny: Aleksander Przezdziecki. — Róża Infantki. — Posessya Nr. 59 w Rynku Staromiejskim.